COLUMBIA UNIVERSITY LIBRARY

Nic.Pos 7222

150 T

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

Akc. Rps 7222

KN 374/97
17.7

Kraków dnia 25 grudnia 1865 r. M.S.

Ach! co raz dalej gdzieś w świat mnie niosą,
Władzi popsutej życia batwany, - - -
Płynę po kwiatach oblanych rosą, zlanych też rosą
Płynę nad groby, kopce, kurhany,
Płynę nad zgliszcza, gruzy, zwaliska
I prócz tych między, zdala mi zbliska
Nic — nic nie widzę — puste wciąż pola —
Zdeptana tylko gdzie niegdzie rola
Trawą i chwastem zbyło zarasta i
Rolnik nie orze, pług dał na dosy,
Rzekami puste pozbierał stoły — —
Ach! to Ukraina, to ziemia Piasta! —

I znowu płynę — niosą mnie fale —
San — Wisła — Dniestr — Bug — płyną wspaniale,
I Warta spieszy w północne kraje
I Wilja mruczące szczęście się wgaje,
A na ich brzegach co kilka grodów
Ciche mogiły widzę, czy wzgórza,
Nad niemi skrzydła Anioła Stróża,
A nad nim gwiazdka świeci za obłoków, —
A tu leży wielkie drzemią mogiły
A na ich szczycie drzyź dawno zgnity
— Symbol męczeństwa i godło wiary
Znak dróżdżej ziemsky — a długiej kary —
A w nich spoczęli po trudach boju
Obrońcy matek, sierót, kochanek,
Z pieśnią w zajdanach, w żałobnym stroju,
Jak z niewolniczych wybiegli szranek —
Śpią — sen ich twardy, długi, bez końca
Jeszcze daleko do wschodu słońca! !! —

Znów płyną dalej — bo większą drogą,
Podróży dawno nikt nie szedł nogą,
Tłumem bieżące gromady ludu,
Jakby na miejsce wielkiego cudu,
Jakby do świątyń o świcie rannej,
Jakby na pogrzeb — a między niemi
Z rozpaczą w piersiach biegnie kochanka,
Bracia i siostry, matki, sieroty,
I wrzawy ptaszą, łzami krwawemi,
A już przed niemi bagnetów roty.
Stoją — gdzie? u stóp pewnie ołtarzy —
Nie — w miejscach świętych, z nazwą straszny.
Już się lud rozbiegł szerokiem kołem,
Kilkadziesiąt kilkadziesiąt kilkadziesiąt

Śpiżnie walerni na waszych trupach
Wyrosną jadły, a na ich stupach
Inni spać będą. Ach to dziedzina
Niegdyś Kiejstutów i Gedymina! — —

Gdzieś mnie daleko uniosły wody —
Od mej Kochanki, od mej zagrody,
Wracam — by obraz trzeba na nowy,
Uciszyć serce, niech się nie miesza. — —
Aby wypełnić boskie wyrodki,
Ach, znowu płynę w świat ten szerodki! — —

Henryk

Kraków 23 grudnia 1865.

Dlaczemuż w życiu mém ani chwili:
Szczęścia niebyło, ani godziny?
O cóż to życie smutne umiliy,
Moje marzenia, czy moje czyny?
Czemuż mi zeszła gwiazda poranna
Zarówno ze mną cicha i blada,
— Kiedy już róża, liść i dziewanna
Od pocałunku zimy usycha! —
Czy dla mnie było na świecie bole
Codzienną pieśń na zimną dla ludzi,
Na mównicę zawsze na sprzeczne role
Myśli, co mnie drżący i we mnie budzi?
Czy w moim oku nigdy niebędzie
Źrenica choćby szczęścia promieniem,

Czy z niego ima tka nie wyłzyśnie
Jak łzy tylko za nim drogiem wspomnieniem.[2]
Cenniż nikogo niema na świecie,
Coby mnie rozbudził kiś z zadumania,
Po drugiéj zimie, po drugiem lecie
Od czasu z Tobą luba, rozstania!
Czy jezioro tego cisza w około,
A w mojéj duszy burza trwać będzie,
Czy już więdnące nadziei zioło
Nigdy nie wzrośnie na ziemskiéj grzędzie?
Ach czas boleści daremnie płynie —
Nikogo nie łzy szat, nikt go nie łzy szy. —
A liść różany już na drzewinie —
Zwiędł prawie pośród tej długiej ciszy —
Wszystko tak więdnie, ginie, mija
Oprócz wspomnienia za rozstania wiosną,
Co rani duszę jak gdyby żmija
Co wznawia zawsze nutę żałosną!

Kraków dnia 15 listopada 1865.

Ach znów jesień — jesień druga
Jak minęła rozstania co jesień. —
Łza powieka moja mruga,
W uszach słomy pieśń żałosna!
Zawsze jesień — zawsze zima
W sercu, w nim też myśli ciemne,
Nikt przeznaczeń myśl nie wyłzyma
Łzy i skargi nadaremne! — —
Wpół uschnięte [illegible] drzewy, drzewa
Smętne stoją, jak na grobie,

Płaszcze omętnij jesień śpiewa
I najsmętniej gdy o sobie.
Liście leżą pożółkniate
Jak nadzieje niespełnione,
Chmury mkną po niebie białe
Śniegiem napuszone obciążone!
Smutno – tęsknio – powiat bezwonni,
Na zagonach wiemo kłosów,
Tęsknio w domu, na ustroniu
Smutek płynie zgwarów niebiosów!
Wicher resztki traw wysusza
I srebrnych kropel zimnej rosy,
Swoją pieśnią pieśń przygłusza
Najdziksymi w powietrze głosy!
Tak mija dzień, noc, ranek,
Co raz więcej w duszy bolu
Przeszło jesień – został wianek
Ten jam z cierni i kąkolu! —

Kraków 4 stycznia 1866.

Tęsknota Mignony. /z Göthego/

Czy znasz te kraje, gdzie kwitną cytryny,
Gdzie pomarańcza w gąszczu płomienieje,
Z nieba błękitu wiatr łagodny wieje,
Myrt cichy, bujny wawrzyn wśród doliny.[2]
Czy znasz go dobrze?
Tam, tam, w te strony!
Poszłabym z tobą x mój ulubiony.

Czy znasz dom, jego dach wisi na słupach,
Błyszczy jż sala, lśni się gmach w twym rozrycie,

Patrząc ~~[illegible]~~ postacie mnie ~~[illegible]~~ z marmuru wgrzybach
Pytają: cóż to zrobiono ci dziecię?
Czy znasz go dobrze?
Tam, tam, w te kraje!
Z tobą obrońco mój iść ~~[illegible]~~ przystaję.

Czy znasz tę górę, pod chmury jéj śnieżna?
Mut drogi do niéj szukając we mgle chadzi,
Wjaskiniach dawny płód potworu mieszka
Skała się wali, przez nią szum powódzki.
Czy znasz ją dobrze?
Wte strony, tam! – tam!
Nasza droga! – ojcze, iść pozwól nam.

Henryk Machnicki

Kraków 10 stycznia.

Grób Anakreonta
z Goethego.

Tu gdzie róż kwiaty, krew winny owawszyn się wije,
Gdzie synogarlica wabi, gdzie dźwierzęcz się dotyje,
Co taka grób jest, że wszyscy bogowie go życiem
Tak olgrzyli pięknie. – Anakreonta boża leże. –
Wiosnę, lato, jesień przeżyt, przedzimy przybyciem
Tu szczęśliwego poetę ten pagórek okrzeże.

Żądanie (Nalegania Amerikanki) Goethe
z Goethego.

Dziewczyno piękna, hy,
Co czarna włosy masz,
Czy w oknie stojąc, czy
Z ganku pokazisz twarz!

A słońce darmo by?
Był dla mnie stracił sens,
Gdybyś otwarła drzwi,
Prędzej, wśród szczęścia lichu
Leciałbym sam jak ptak!

Muzagety.

z Goethego.

Nieraz pośród zimy nocy
Do muz moich pieśnych wołałem:
Teraz mi się brzeg nie płynie,
Dzień nie wschodzi świtem białem,
Lecz wy o zwykłej godzinie
Nieście lampy blask miły, światłej wieście,
Bym pilności przy jej pomocy
Mógł ożywiać bez otuchy,
Bez Phoebusa. Lecz te we śnie
Mnie głębokim zostawiały;
Tak gdy mignął ranek cały
Szły bezczynnie dnie i wieczory.

Gdy czas przyszedł wiosny miły,
Wtedy słowikom mówiłem:
Niech wasze słowiki pieśni
Dzwonią wam, gdzie okno moje,
By mnie z twardego zbudziły.
Snu, co więzi tak mi drzewiana.
Lecz śpiewamy pieniem mi tem
Przed mem oknem nocą, wieśni,
Chwilę słodkie nuty swoje,
Jak w uwięzi czuwa dusza,

Tęsknota rzewna mię rana
W piersi kłującej ją porusza.
Tak noc każda przemijała
A Aurora (jutrzenka) wschodząc mi to
Z pięknego mnie łoża Jaworzewskie mię zabiera,
Słońce ledwie mnie budziło.

W końcu przyszła lato pora; —
Od pierwszego dnia świtania
Budzi mnie ze snu mi tego
Mucha zatrudniona wcześnie,
Bez litości oraca szpora,
Choć zbudzony przez pół wcześnie
Niecierpliwy ją odgania,
Niestetknone dała siostry do tego
Nęci, — wtedy dzy powieka
Bo z niej luby sen uciecka.
Żwawo zatem z łoża wstaję,
Prosząc, gdy muzy dochane
Znajdę, gdzie bukowe gaje, (Lisk)
By mnie łaskawie przyjęty.
A tak owady zgamane
Daty godzin złotych wiele.
A więc niechaj — choć jen wzięty —
Te nałogy z ich zalety
Poeta uwielbia mnóstwo,
Jak prawdziwe muzagety.

Henryk.

Do G.

Pnączko moja, swawolnico,
Bluszcz w mem oknie się wijący
Wpół złamałaś mi przednico,
Patrzaj — leży tu więdnący!

Ach niedobra! ja co ranka
Troskliwie go polewałem,
Świeżej biorąc wody z dzbanka,
Każdy listek w niej maczałem.

Często leż, gdym rozrzewniony
Jasnotny z nim o zmroku
Dumał, tą łzą łytmą skropiony
Gorzką, jak zapał w oku.

Tyś go jako tak lubiła
Przykładając z nim się bawić,
Tyś go podług woli wiła,
Mogła tu i tam postawić.

Weź niedobra ten zwój mniejszy
Wdziękiem i wsadź w twym wazonie,
Jeszcze może wzrosić przyjemniejszy
By ocieniał twoje zdronie.

A za karę, gdy blask słońca
Będzie tutaj oknem wpadał,
O przednicy mej bez końca
Będę wszystkim opowiadał.

13/66 Henryk

Do stawika.

Dobranoc ci mój stawiku!
Już nocy mija połowa,
Bliski dzień wśród wrzawy krzyku,
Przygłuszył by nasze słowa.

Dzięki ci za nutę żałobną,
Za głos mity, wypieszczony;
Pod cyprysem pod oliwą
Nie brzmią takie słodkie tony.

Przy pachnącym ku jaśminie
Nie w dwilenia lecz w marzeniach
Nowy resztka niech upłynie
Ci płaczyno w bladych cieniach.

Jutro – jutro znowu razem
Jak dziś spieszyć się będziemy,
Jej widokiem, jej obrazem
Piosnki nasze rozpoczniemy.

Dobranoc ci – śpij – nim powiem
Dzień dobry leśny śpiewaku,
Dobranoc ci, – nim się zowiem
Czem jam też luby ptaku! –

/ 19/6 6 – w ciemnej sypialni /

Szczęśliwy – domu trosska na czole
Piorunną chmurą nigdy nie leży,
Szczęśliwy – dogo myśl a nie dole
Ile też jutro znowu ~~upłynie~~ ubiedy.
Kto pieśnią miłą cichą, pieśnią swobodną
I wieczór żegna i dzionek wita,
Kto myśl, choćby niemałą, pogodną
O dolę jutra ludzi nie pyta.
Ani mię łzami za swym aniołem,
Ani obiega dopłane niwy
Uniesiony z rzuciem najżliwszem zpotem,
O ten szczęśliwy – o ten szczęśliwy!

Albo szczęśliwszy, gdy dłoń kochanki
Ujmie w swoję rękę, uściśnie gorąco,
Gdy z nią wśród ~~wonnic~~ konarc, różanc wianki,
Widział tęz z oczu jéj spadające.

Lub najszczęśliwszy – kto wśród natury
Swobodny wielbi Boga – kto w nieba
Bezkresy się wznosi wyżéj jak chmury,
Komu prócz Boga nic nie potrzeba.

Henryk 24/3 66

Przed wyjazdem.

Dziś jeszcze tu – jutro pewnie
Już tam w cichym domku wioski
Zaptaszę stęsknionej zwrotnie.

Już mnie wzrosi zapał bardki
Nad te lube miejsca, wzgórza,
Nad te tyki, gaje, rzéki,
Nad Śnieżnicę co się mrozi
Szczytem pod obłok daleki.
Tu kaplicznika biała stoi
Smętna zawsze, a ptaszęca
Przy niéj brzoza żal jéj koi;
Czesem gałąź o dach traca,
Kiedy burza łamie drzewa,
Czasem łzę kuśi, miłez obie
Widzi im ptaszek jaki śpiewa
O dwóch braciach w jednym grobie,
I od skwaru stoi na straży
Jarzębiny czoło zdobne,
Rozane paprki świeże,
Co pyszą kwiatem, kwiaty złotą;
A tu wiatki tam zorany
Wnet zielonąą falą kłosów
Zachwieją się – rozigrany
Skowronków tysiącem głosów.
A sam kościół – krzyż mi złoty,
Ani dzwony głośno pieją,
Ale skromny – bez roboty
Wiatrów okna łśnią się tęczą.
Rengoły ujrzy swego brata,
Co pyszny nad Szczyrzycem

Wznosi, z piersi głos ulata
Smutny, smutniéj świecąc licem

Już was rucam — o bo jeszcze
Jutro ujrzę Skrzydlną, siołto,
W nim mą młodość, — Już się pienę,
Naprzód wyprzedzam wroto!

Ach! lecz czemu nie na dłużej
Czas pięknoty mnie użyczają, —
Wnetznów zniknę z oczu żmudzi,
Ach, już widzę jak znikają. —

25/12 66 Zenzyk
przed wyjazdem na św: W. Odp.

Cisza morska.

z Goethego.

Jakaż na wodzie cisza głęboka
Bez drżenia zda się spoczywać morze;
Skrzywiony sternik niespuszcza oka,
Płaszcz w tę gładko ustane łoże.

Nigdzie wiatru w żadnej stronie,
Okręt w ciszy grobu tonie,
W niezmierzonej tam przestrzeni
Żadna fala się nie pieni!

1 Listopada 1864

Szczęśliwa podróż.
z Goethego.

Mgła się rozdziera,
Niebo jaśnieje,
Eolus zdziera
Trwożne nadzieje!
Już świszczą wiatry,
Sternik przy pracy,
Pod piersią ślizga
Fala się dzieli,
Już bliżej — blisko —
Kraj my ujzeli!

19 październ: 1864

Stałość z tłości.
z Goethego.

Nie łkajcie, nie gińcie
Łzy wiecznej miłości;
Łzy na pół oschniętych
Łagodnie zwilżonych
Stoi myśl: Miłości
Łzy wiecznej wciąż płynęcie!

16 października 1864

Nocne myśli
z Goethego.

Was ja zatuję gwiazdki nieszczęśliwe,
Wyście dał piękne, błyszczycie wspaniale,
Wy uciśnionym żeglarzom życzliwe
Choć was Bóg nie stworzył nienagradza wcale,
Wy nienawidzący nigdy nie kochaty!
Niepowszednymi godziny was cnoty
Wielką obszerną niebieską zagrodą;
Gdzież wy drogą dokąd przeleciały!
Odkąd się w Lubej objęcia oddałem,
Was i ze północ całkiem zapomniałem!

3/ listopada 1864

Pierwsza strata.
z Goethego.

Ach, kto przykre te dnie wróci,
Owe dnie pierwszej miłości,
Ach, kto tylko choć godzinę
Owych błogich chwil mi zwróci!
Moją ranę w samotności
Żywią skargą wciąż wznawianą;
W myślach o nim szczęście giną!
O któż wróci ukochaną
Wiosnę życia mi nazwaną.

4 listop: 1864.

Do Oddalonéj.

z Goethego.

Więc rzeczywiście straciłem Ciebie?
Niema liść piękna, wydarł Cię los!
Jeszcze brzmi w uszach, i w dolo ślebie
Słyszę Twe słowa, słyszę Twój głos.
Jak podróżnego gdy oczy z rana
Darmo łzami w błękit spojrzenia ślą,
Kiedy w niebieską przestrzeń schowana
Śpiewa skowyrka skamporza mgłą:
Tak też mój błędny wiodę wzrok za Swoją
Przez lasy, pola, w dalekí kraj;
I w każdéj pieśni wołam za Drogą
O wróć się Luba, wróć życia maj!

5 listop 1864

Kraków we Wrześniu 1866

Do przyjaciela.

Godzina piąta. Z dwia godzin tak wiele
I Tobie trzeba dwóch chwil poświęcić,
Tobie mój Drogi, szczery przyjacielu,
Tobie ~~*~~ Wspomnienie. Nie daj się zniechęcić
Że ci tak często, że ci zawsze wzywa
Jakiś wędrowiec, jakiś śpiewak mierny —
Biedny on, biedny — w wirach tej nadrywa
Żal w piersi sercu — lecz Boże — chodź, bodajżeśmy
A powiedz, czemu czas ślady zaciera
Drogi, dopóty szło życie dziecięcia,
Czemu po każdej zimie coś umiera
W sercu pierwocin, coś bliskiem zwiędnięcia?
Wspomnienie moje, powiedz mi też, czemu
Lot skrzydeł moich tak wcześnie słabnieje
I sił brakuje wkrótce dziecinnemu,
Życia mało — jakiez mu nadzieje?
Mów, czemu giną wzory i wzory,
Obrazy cudne inne kształty biorą,
Życie się wlecze jak lunatyk bez wiary
W przyszłość, w swą małkę znękaną i chorą.
Czemu śpiewanej pieśni giną echa,
I niebo raz[ ]chmurzy się powiedz to blado,
Czemu od[ ]dziecka ucieka pociecha —
I całej przeszłości tyś jedno zostało — — —
Więc powiedz teraz, powiedz mi dokładnie
Jeżeli życia mego przyjacielu,
Ach, mów, nie zwlekaj — chociaż łza upadnie,
Ona potrzebna jak rosa na zielu.
Milczysz? nieczuły — odpowiedz choć słowo —
Ach już po licu domyślam się zbladłem

„Wmych słowach gorycz, nie pytaj na nowo"
Rzekłbyś, wszak prawda, odgadłem – odgadłem.
A więc przynajmniej, gdy jestem bądź ziemną
Złoń w słoń, razem, jak drzewa i cienie;
Czy pójdę w przyszłość jasną albo ciemną,
Gdy zawsze przy mnie pozostań Wspomnienie!

4/966.

Do Niej.

Mnie dziś dziwnie, smutno, – luba
Czemuż, czemuż nie ma Cię?
Już za długa i ciężka próba,
Chciej od niej uwolnić mię.

Tyś nieznana, kiedy zdołasz
Tak długo mnie dręczyć tu,
Stawem mnie nieżywotnym,
Nie ożywisz w żalu lichu.

Ach, Tyś może dziś okrutna,
Żem ja poszedł w świat gdzieś przez w świat,
Bo z Twych piersi się nierzywa
Nuda rzewna z dawnych lat.

Może pamięć o mnie pale
Zmyj z kilku innych stów,
Może nieprawdę mnie wcale
Gdy powrócę w dom Twój znów.

Czemu mnie smutek dręczy,
I przeczucia czarny cień;

O godzino smutnej jzory
Dzwonek, co rozbudza dzień.

Oby nigdy niedznata
Bolu co w mej duszy tkwi,
Oby nigdy chwil niemata,
Jakie Ty sprawiłaś mi!

Dnia 26 III 66 Pawsze z Tobą.

Do Ciebie.

Ty wroń mię pali, żar w mém łonie,
Ogień nawet w mym oddechu, —
Łono tli się, i skroń płonie,
Usta wzglem bez uśmiechu.

Może ból ten gorączkowy
Woda zimna zmniejszyć zdoła, —
Choćby tylko do połowy,
By mię spalił mego zioła.

Nic pomaga — ciepłą woda
W jednej chwili się zrobiła —
Zdejmcie chustę — chusty szkoda,
O, bo wielka bolu siła!

Ale, gdyby może kawał
Lodu jeden, drugi, trzeci,
Kto do ust moich podawał — —
Może wtedy ból ulecz!

Wszystko próżno — i lód spływa
Po mych licach w łzy skroplony,

I – ni ognia nie ubywa,
Ni końca nie głoszą dzwony.

Ach, ta – na tém cierpień torze
Pierś mą jeszcze żal przygniata,
Tęsknota, – po bezdrożu
Świata myśl ma błądzi, lata.

Żarkie życie pośród ludzi,
A jeszcze cierpię katusze,
Żyć nie mogę – śmierć mię ludzi –
Tylko zwolna konać muszę.

Słuchaj, słuchaj Ty okrutna,
Coś mnie na ten los skazała,
To boleści mych pieśń smutna,
Chociaż krótka ale cała.

Przygniotłaś jak grób kamieniem
Duszę, serce, wszystko do życia,
A jeszcze przed moim cieniem
Uciekasz, szalona, skrycie – – – –.

Idź – tam, gdzie Ci miłsze nieba
Idźcie wy – pół przyjaciele,
Waszych usług mi nie trzeba,
Bo mych cierpień – ach za wiele.

27/12 66 w związku Bezegonarodzenia
w domu mej siostrzeńca w Skrzyńsku
pisałem w Krakowie.

Ani cię pojmą, ni będą wiedzieć
Patrząc w twe volem pożółkłe lica,
Że prawdę mówiąc jeszcze się mylisz,
Bo wielka duszy jéj — tajemnica — —!

w Kwietniu b. r. w Limanowy.

Jak ptak spłoszony wybiegłem z doliny —
Lecz złączkniony pierá wiatrem odtrzásł,
I serce zwiędłe jak liściek krzewiny
Trochę popręcił — trochę wypoczął.

Tam na wierzchołku téj wysokiéj góry,
Gdzie jéj wy kamień u szczyt wyniosły —
Gdzie jéj tak blisko i błękit, i chmury,
I niebo bliżéj — odpocząć stanąłem.

O jak tu prędko cudnie — o Boże! Boże miłosierny,
Serce jak gdyby tłuszno dziwno mi mnie biło —
Na dół w górę prawdziwy widok ścieżeczka,
Jak tu rozkosznie, spokojnie i mi to!

Są tu i kwiaty wśród skał i kamieni,
Jak wojowniczce jak kwiaty w Solinie,
Tu cię wszystko najpiękniéj zieleni,
Stańcie się cili — tam źródełko niegdzie.

Wieńcem się jodły i świerki ujęły
U stóp téj góry rozbiegły zielone,
Tu najpiękniéj lepiéj śpiewcy każdéj wiosny,
Wiatr rano lecą płaszczki w każdą stronę.

Zbaś, kto ma skrzydła, łatwo wzniesie się wzwyż
Wołgolik, ku niebu, dalej – dalej jeszcze –
Wtedym lecie duszą wyprzedza zakata,
Choćby miał skrzydła piorunowe, złowieszcze.

Leć choć ku północnie i ostro, czarownie
Przecież jakaś tęsknosć z zajemnych [illegible] jesień
Do duszy mowi przedrucciem wymownie
że ku Bogu mieszka, stwórca [illegible] wiosen.

12 Maja 1867 na najwyższej górze
Lolo Limenowy.

Do Marylki.

Dobry dzień Marylko moja
Jak się spało, co się śniło?
Powiedz mi czy burko twoja
Dzisiaj będzie stodkq, miłą?

Napisz, powiedz jak chcesz tylko,
Wczoraj wczoraj co robiłaś,
Czy się kochała mnie Marylko,
Czym niewypadł, co myślałaś?

Napisz, powiedz, jak chcesz tylko
Co dziś robisz, robić będziesz,
Czy dziś tadna jest Marylko,
Czy też przyjmie dziś uściski?

Napisz, powiedz jak chcesz tylko
Czy dziś lepsza jest niż bytaś,
Czy się ubierasz Marylko,
Czy się jak zwykle, myjesz?

Jeżeli lepsza, napisz tylko
Pocałuję Cię sto razy
Potem kocham Cię Marylko
Gdzie chcesz, jestem na rozkazy.

Napisz orzeźnie choć to tyleko,
Jeśli mię nasz uraza wiele,
Czy mnie tyż kochasz Maryleko,
Zawsze, czy tylko w niedzielę.

W końcu jeszcze o to tyleko
Bardzo Cię proszę moja Luba
Drzyj te karteczki Maryleko,
Bo Ci może wydrosić Kuba.

Jeżeli niepodrzesz tyleko
W mych oczach to stawo Cię,
Że, choć Cię kocham Maryleko,
Ojciec wypędzić każe Cię.

Gdyż zaś określiż chciały tyleko
Jedno – dwa – trzy – cztery stawa,
Potoi karteczkę Maryleko
Wrzeszczeń gdzieś tam lampernawa.

Limanowa 7 Czerwca 1870

Do Maryli po jéj spowiedzi.

Rano – poszła – do – spowiedzi –
Maryla dziś bydzie święta –
W kapiele się modli – siedzi –
Do nieba uroni oczka!
Koronkę przewraca w rękach
W okienku przewraca stronę –
A ja czekam jak na mękach,
A ja chodzę jak szalony! –
Patrzę kleszcz za parkanu
Klęka – wstaje – znów składa –

A ja śpiewam tęsknę nutę
Bo mnie dziwej (cnej) sypotko zdrada.
Gdy ci Hrabi Maryla spytała Maryli
Czy nie kocha go kogo przecie,
Ona mu powie w tej chwili,
Kocham, lecz tylko w jedrecie.
Wtedy Hrabi jej – powiada raz jej
Czyliż go kochać przestaniesz,
Bo ci mówię że inaczej
Rozgrzeszenia nie dostaniesz.
Wtedy Maryla się zmieszała
Nie wiedzie się mnie wymknie –
Za co kapłan ją rozgrzeszał
A ona wtedy uciekła.
A gdy mnie sypotka zalona
Powiem jej w śpiewie ostatni,
Od Hrabi jest rozgrzeszona
Ale odemnie przeklęta!

Leman. 9 Kwiet. 1870.

Rendez-vous.

Pamiętasz Matyś, (wnak) jak to wsroraj było
Wtedy siedziałaś – późno – sama jedna
Z modlitwą w ustach, a wtem uderzyło
Coś w szyby okna – byś zadrżała biedna,
Boś się przelękła zaraz w pierwszej chwili
Lecz wnet poznałaś, kto pukał po cichu
I kto chciał tajtkę ufnością Maryli
I coś pospiekał przy twoim uśmiechu.
I wnet Maryla pawitawny zgasiła
Lampę i cicho na palcach, ukradkiem
Chustkę na siebie kędko zarzuciła
I wyszła do mnie lecz na bardzo krótko.
Pawrtały żarty, wymówki i śmiechy,
Bystre pytania, figle, odpowiedzi,
Lecz najważniejsze dla mojej pociechy
Całus mi skradli ciekawi sąsiedzi.
Ach wtedy byłem taki zagniewany
Że niewiedziałem co zrobić z sobą —
Wtedy ciekawy Hymen rozigrany
Uciekł skroń Maryli błękitnym swym odwiecie
Wyjrzał zza chmury, lecz wnet skrył się cały
Gdy pośmiertnych ujrzał nas oboje.

Tak jeszcze chwilę tu postanie stoję,
Lecz wnet na progu zostało nas dwoje,
Maryla bowiem dobranoc mi zeszła,
Nie mogąc oka ode mnie oderwać
I nim jej rzekę ostatnie — uciekła
Słyszę to wiedząc pewnie śmiać się ze mnie.
Wtedy ja także poszedłem do pokoju
Myśląc co teraz robi moja Maryla,
Czy się z nią kłóci przeklęty Satanowicz
Czy już w poduszki swą głowę położyła.
Tak się stało — gdy się przebudziłem
Maryla krótkie pieśni podumała
A potem w jaśniach utonęła cała,
We snach się mitych duszą rozpływała.

Liman. 10 Lip. 70

Na zgodnie.

Piszę Ci Rózi Maryleńko,
Lecz z bijącem sercem prawie
Bo Rózi gniewasz się koteczko,
Bies spojrzy na mnie łaskawie.
Ach Maryło jam jest winny
Że wczoraj stawd stamałem,
Byłem tak bardzo Dziecinny
Że parastad z nim mu[sz]iałem.
Już wszyscy mi robią tego
Maryleńko mi robią tego,

Nie śmiem spojrzeć w oczy tobie
Bo ja znów z innym stego.
Marylecko błagam Ciebie
Czuły darować mi raz tylko,
Twoje serce tylko umie,
Ty daruj czy mi Marylko.
Czerwoną mi moja droga,
Że ja mojq winę czuję,
Ale błagam Cię na Boga
Powtuj to słowo „daruję".
Marylecko duq konwersnie
Byś mnie jako ukarała,
Bobym myślał że Ty wiernie
Będziesz na mnie [illegible] gniewała.
A nie dowód nowy gdy się zapomniało
Że zawsze będziesz jednaka,
Daj tatusa moja mała
Daj choć jednego buziaka.

Lim. 11/470.

Do M.

Ach gdyby mi kto powiedział,
Czy Marylka kocha mnie
Tobym zaraz przy niej siedział
Siedział bym z nią całe dnie.

Ach gdybym mógł wiedzieć panienie
Czy Maryla dacha mnie
Jabym płakał – śmiał się raonie
Był wesoły nawet w śnie.
Lecz ja nie wiem o tem wcale
Więc dlatego smutny tak
Nieraz myślą tak zuchwale
Lecę w niebo jakby ptak,
I w błękicie gdy zawisnę
Czy mnie dacha pytam się,
I gdy ręką tuq uścisnę,
Ufortnieniem pytam Cię.
Kiedy wstanę jeszcze z rana
Czy mnie kochasz, pytam znu,
Piosnkę na nu papier znelana
Pytam go – czy kochasz ty?
Kiedy wieczorem o zmroku
Pozdrowienie Tobie ślę,
Zwiazd się pytam na obłoku
Czy Maryla dacha mię.
Kiedy koło niej usiędę
Zaraz się zapytać chcę,
Czy, gdy jutro tuloj będę,

Ona będzie kochać mię.
Biorę gałązki lub kwiaty
I listek po listku rwę
I pytam się z listków straty
Czy Maryla kocha mię.
No listek ostatni padnie
Razem kocham, razem nie,
Ach! któż wtedy odgadnie
Czy Maryla kocha mnie.
Często znowu kładę karty
I kart prawdy pytam się
To znów wyjdzie że to żarty
Że ona nie kocha mnie
To znów słoni uśmiechnięta
To gdy piersi do piersi gnie
To się pytam jej westchnienia
Czy Maryla kocha mnie
Więc w tych myśli pomieszaniu
Nie niepewność prawdy mnie
I tylko jedno jedno jeszcze
Czy mnie kocha czy li nie

15/dawne 70 Linowe

Kradowiaki Ks. M.

Miło jest na wiosnę zbierać ogrzyn kwiaty
Ale miłej niż twych całować oderwaty.
Z ybłę stąpać, burz dostać trudno to nauka
Y napisać, kto nie umie to najwstydna sztuka.
Ladi i gwoździki to najhardziej lubię
Kochana Cię Maryldo dowiaz się chcię gubię.
Ogrzyzm cię amienit w małego stowida
Kochatabyś hardziej wielkiego t..
Bo stowidło śpiewie, to wygoldo anieli
Co w maj dony rarem wardony beleśni.
Hej skowronek dwoni, a pięcy biały pada
Ach ja pięc na dagusta – nikt mi co dpowieda.
Maliny, jagodki zemną się upneały
Chwalą się że się jagód nierozmaitych nieznały,
Ja ich wtedy potrzebem na Maryldi usta
Ej kryknęły przedwieczorem, my bledne niż chusta

Liman: 20 Kwiet 70

Dnia 29 Kwietnia niebędąc nigdy w życiu pijany-
pitem więcej – był to raz ostatni.

Czy ja Cię kocham? 2

Czy ja Cię kocham o Maryło droga,
Czy ja Cię kocham moja ty jedyna,
Czemu chcesz wątpić gdy jakaś zdawroga
Myśl twe marzenia rozwiewać zaczyna.
Czemu się pytasz wśród cudzych i ludzi
O moją miłość, o moje serce,
Kto Cię kochać więcej się nie trudzi
Czy będzie w rozłące czyli w pomówieniu.
Czemu się pytasz przysłów i świata
O moje myśli, o moje marzenia,
Maryło moja we mnie masz już brata
I wiecznej jesteś, więc pocóż zwątpienia?
Czemu się pytasz i obcych i siebie
O miłość wiecznej i niewiernej razem,
Nad moje piosnki są tylko dla Ciebie
Nad moje słowa Ja serce wyrazem.
Czemu się pytasz albo pragniesz pytać
Przyszłych widoków domu lub kwiatów
Lepiej Maryło nauczę się wyczytać
Prawdę z niezmiennych Tobie ufnie światów.

Na co tych pytań, na co odpowiedzi
Maryla na co swątpień i niewiary
Nad tarcie ~~słowo~~ nych wynikłych spowiedzi
Jui Ci niemoże dać większej ofiary.

Porzuć myśli moje, chęci i pragnienia,
Piękni, łagodność, miłość i nadzieje
Wszystkom przy wiązał do tego stworzenia,
Chyba że burza życia je rozwieje.

Bo wiesz Maryla że pogody wiosny
Często przerywa wicher i piorany,
Spodój i szczęście dłoni (mienia) śpiewiałości
~~Kolory~~ Barwy wesela mienią się w ~~całuny~~ krzyż.

Bo wiesz Maryla że o życia powodzi
Tak jak na morzu, burze i cisze;
Łódki nas niosą, brzeg tu nam przychodzi
Wtem fala łodzi ~~morze~~ wody rozkołysze
I łódki pędzi w świat wielki, szeroki —

Maryla myśli twe za mnie wyślij —
Bo one morze utoną na wiecki
Albo się znajdą — reszty się domyślij.

Ostatni (31) maj 1870. Lim.

a) Ostatnie lub ostatnie przesłane życie przypomnień pójdzie.

Dnia 9go czerwca o 5ej popołudniu ~~dnia~~ ulewny pada w Sieni
stolnym obojo — Ona ~~pytała~~ mówi mi, pódź ze mną do drugiej i mieszkamy razem
to za mnamy". Co roku o tem dniu przypomnienia
a)

Do Maryi.

Chcesz abym Ci pisał tylko
Pisał często, pisał wiele,
Na co, za co mów Maryldo,
Mów Maryldo, mój Aniele.
Choć napiszę, to przeczytasz
Wielkim wprawdzie, ale na krótko
Znów obojętnie witasz.
Znów smucisz mnie filutko.
Tylko chciałabym tylko wyznać
A nie pisać ani słówka
Nawet gdy coś mam co pytać
To na wszystko jest wymówka.
Więc mi powiedz raz jak mnie,
Za co ja mam znosić tyle
Znoszę dosyć na tym świecie
Za te krótkie niezgrabne chwile.
Powiedz, napisz mi koniecznie,
Uspokój mnie w mej żałości
Czym ci mówić coś niegrzecznie,
Czym niegodzien Twej miłości?
Czemuś często jakaś gniewna
Powiedz mi raz, błagam Ciebie
Czemuś często jakaś gniewna,
Toś na ziemi, to na niebie
To wesoła, to znów nawet
Widzisz wszystko, wszystkich w koło
Tylko mnie widzieć nielubisz,
Śpiewasz, bawisz się wesoło,
Jak tylko mnie z oczu gubisz.

Abyś mi spotkać zemną
Spisz już o ósmej godzinie
Chcę ma, ujrzeć Cię Jaremną
Statek każdy wieczór ginie.

Z każdem dniem nowe przykrości
Nawet mi zadają rany,
Czyto oznaki miłości,
Czym to ja Twój ukochany.

Powiedz mi Marylo miła
Za co cierpieć tyle muszę,
Bo wprawdzie mnie uwięzi mogiła
Nim żal do Ciebie przyczuję.

Wiesz mi powiedz otwarcie,
i Ja co razem kochać, cierpieć,
Albo chcesz mnie kochać wiecznie
Albo wiecznie nienawidzieć.
2 Czerwca 1870. Lwów.

Modlitwa za drogą osobą.

Stwórco wszech światów, Ty co mieszkasz w niebie
Wszak pozwoliłeś modlić się za drugich
Czyż i Jam modlić za wrogów i ziemie
Podczas dowania chwil strasznych i długich.
O wielki Boże wszak nakazałeś pamiętać wielki
Do mnie „prosić a będzie wam dane"
A więc Cię błagam, wszystkich twej opieki,
Bądź dla mej Ojczyzny, o Boże, i Janeczki.
Więc Stwórco błagam Cię dla mej o zdrowie
Bo to największym jest skarbem na ziemi
Innych nie lecz wieniec na jej stanowie,
Wieniec, co dwoistwie troskami jasnemi.
O daj Matko jej za czym wzdycha tak wiernie
Tylko muzyki nie, pogodne dnie życia,
Niech jej przeżyte te chwile jak we śnie,
Niech jej świat kocha tak jak wiosnę wiosnę.
O wielki Boże pozwól niech jej wola
Spełnieniem, uczuciem i wdzięcznem urodzaju
Niech myśl o ziemi, niebie wesoło
Przepleta życia jej wszystkie kolejne.
O błagam Ciebie, o wielki Boże
Niech ona będzie najmiłościwszą na ziemi,
Jej cała nieszczęście, bom mnie z tąż z mą Boże
Wiedzy nas aniół zmartwych wstania z badzi.

Lwów 4 czerwca 1870 do Kalwaryi do nabożeństwa
Skopiował Madlaryk

Spowiedź zabobonnika.

I Grób.

Patrz na te brzozy w zielonem odzieniu,
Co swe warkocze w mruczącym pochodu
Tną pią, przy skwarnym słonecznym promieniu,
Szepczą smutno i budzą tchu wodu.
Spojrzyj na wieniec tych krzaków różowych,
Jak ostrym cierniem przystęp uzbraniają—
Tylko motyle z ich kwiatów cudownych,
Po każdej wiośnie słodycz wyssysają.
A przy ich bodu inne rozrzucone
Kwiaty z cudnego ogrodu natury,
Kwiecną i więdną, ręką niepieszczone,
Choć patrzą w niebo na błędni i chmury.
One to że snu zbudzone powiewem
Płasze rozkoszną upajają wonią,
Które im za to co wieczór swym śpiewem
Nuci, nad dziką, samotną ustronią;
W nocy kasowa na krzyżu ztamanym
Skrzeczy głuche do kogo milczenie,
Głosem chrapliwym, głosem wysilanym.
Strasznym, jak każde po zbrodni wspomnienie.
Krzyż ten na grobie, w grobu tonie — kości —
Że już pewnie spruchniałe, pognite,
Do swojej pierwszej wróciwszy nicości
Kilka stóp ziemi zmieniły w mogiłę.
Lecz — dość tu leży? zbrodniarz czy morderca?
Może podstępnik umarły dla świata?
Kiedy utracił ten kochanki serca,
Samten rozpaczą zdrowie swe lata

Bądźto wiodącą, tam ścieżkę się zbliża,
Zdala omija to czarta mieszkanie,
Albo zrobiwszy siedm razy znak krzyża
Czyni modlitwą pomocy wezwanie.
A lud co mieszka w okolicznych siołach
Kiedy o wróżbach, o czarach wspomina,
Wierzy, że moc ich leży w wszystkich ziołach,
Które przy grobie tym uszczknie dziewczyna.
Dziwią się jeszcze, że krzyż ten przed laty
Jak ich ojcowie czasem to mówili,
Taki był zawsze – że starszy jak chaty,
Starszy jak dziady, co w tych chatach żyli.
I choć kto zniszczyć chce go burze, deszcze,
On zawsze stoi – zawsze pochylony,
I Bóg wie jak stać będzie długo jeszcze
I patrzyć smutno zawsze w jedne strony.
A mówią nawet że jeśli czasami
Słychać w tym wieńcu zarośli i krzewów,
Że jakiś upiór pomiędzy duchami
Płacze nad grobem wśród pobożnych śpiewów.
Lecz często gdy się po niebie rozleci
Krocie gwiazd jasnych wiszących nad nami,
Gdy z tobą tarczą dziewicy noc oświeci
Że ważą się ślizga pomiędzy krawami,
Wtedy widują jakiś zamek stary –
Cudne ogrody – jeziora – strumyki –
A potem pogrzeb – gromy i pożary –
A potem słyszą pacierze – język – krzyki.
Brzozo popuszczań szumieć choć na chwilę,
Słowiku spocznij śpiewać wciąż tak smętnie
Ja wam opowiem kto leży w mogile,
A wy raczcie posłuchać mnie chętnie.

II Jamek.

Tu gdzie dziś tylko walące się mury
Szkielka wielkich ustamdów granitu,
Gdzie dziś wędrowca śpiew błądzi ponury,
Gdy spojrzy na te zwaliska zgór szczytu,
Stał niegdyś zamek, co swym dumnem czołem
Wzbijał się długo w niebo Ukrainy,
A srebrną wstęgą opasany dołem
Lubieżne piersi chował w jej nurt siny.
Cudnie tu lśniło się przy pogodnej nocy
Dniepru szerokiu płynącego fale,
Pieni się, szumi, gniewny powiatrzyście w swej mocy
Jednej nie może oprzeć się skale.
Na wieżach zamku orła lub sokoła
Tylko ujrzałeś gdy spadał zmęczony,
Bo ptak patrząc w okolicę siała
Nigdzie takiego nie widział zdumiony.
Mchami i trawą zarosły mur stary
Bronity jeszcze granitowe głazy,
Czy nadludzkiemi wywołany czary,
Że wieki na nim nie zrobiły skazy?!
Wewnątrz tych murów wznosiły się gmachy
Pyszne jak gdyby Sułtanów seraje;
Rozkoszne wszędzie czuć było zapachy,
Które uroczo roznosiły gaje.
Po jednej stronie nad przepaścią prawie
Trzy rzędy okien złocił promień słońca
Z baszt narożnych jedna, co ciekawie
Patrzała stepów ukraińskich krońca.

Żyłby Hamlet spojrzawszy: u stóp twoich woda,
Nad tobą niebo lazurem oblane,
Wokoło wszędzie jaśnieje pogoda
A w dali gdzieś drzą ci nieznane.
Równie po drugiej wznosiły się stronie
Jak długiem szeregiem z pierwszą połączone
Gmachy dla dworzan służby, budynki na dłonie
A dalej u bram dwa mosty zwodzone.
Wszędzie ruch widać i nie bezdziwnego,
Bo pan Starosta trzymał służby wiele —
Pięciset żołnierza zawsze gotowego —
Wgościnie zawsze pany — przyjaciele —
Wszędzie ruch widać i nie bezdziwnego,
Bo pan Częstoł kwestarz zabłądził z klasztora
Wiedząc, że chociaż niezobaczy pana
Kilka szelągów złota włoży na spód wora
Wybierze z stada tłustego barana.
Lecz pójdźmy w świetne komnaty do zamku
Pomiędzy pyszne z marmuru kolumny,
Do nich przed wejściem na szkaty od stawku
Wskazuje wszystkim drogę, jakiś rycerz dumny.
Tu na dwie części dzieli się gmach cały:
Po prawej stronie są pańskie pokoje,
Po lewej nie wiem, bo dotąd chociaż gmachy
Za tajemnice dałby życie swoje.
Nikt też nie wiedział dotąd pragnął wiedzieć,
Co się tam dzieje, gdzie pan bytuje kadzi
Giermek jego, co niechciał powiedzieć
Ale tam zbrodni i hańby się rodzi!
Bo giermek jeden służył wiernie panu,
Jak pies tańcuchem on złotem przykuty

Młodzieniec jeszcze wyznawca Koranu
Jeniec szlachetski przyrzekła Kaduty.
Dość że te wszystkie podoje, drużgandi
Zawsze zamknięte żelaznemi drzwiami,
A w oknach z drutu i podwójne kłanki
Rdzą oblezone i wieku prochami!
Dalej rząd komnat, a wszystkie od złota,
Każda z przepychem nieznanym zdobiona,
Widać że zbrodnia mieszka tu nie cnota,
Kryje ją tylko bogactwa zasłona!

III Pan starosta.

Kto jest sala, tu w bogatych szatach
Pan siedzi wsparty na wezgłowiu drogiem,
Dziki wyraz twarzy – znać – po długich latach
Okropnych cierpień, jam sobie był wrogiem.
Spojrzenie jego, spojrzeniem szatana
W oczach młodzieńcy zapał przygasł wcześnie;
Na skroni mała od pałasza rana,
Na którą cierpiał często i boleśnie.
Włos jeszcze czarny odrywał mu głowę,
Ale zmarszczkami zbrajana twarz śniada;
Nie mówi wiele, bez miłej mowę,
Gdy gościom czasem coś opowiadał.
Kontusz z materyi gdzieś w Persyi robionej,
A żupan w esy z jedwabiu jasnego,
Pas rzadkojeski kamieniami sadzony
Błyszczy miecz krzywy u pasa złotego.
Jeszcze za młodu bił nim wiérzch wrogów
A pragnąc sławy wciąż leciał na boje,
Gdy znów miał wracać do domowych progów
Pokrzepiał bunty, rozniecał niepokoje.

Król też pamiętny tylko na zasługi
Ojca, dał urząd ten jego synowi,
Który po jego śmierci w czas niedługi
Zapomniał wdzięcznym być za to królowi.
Lecz dziś zgnuśniały zapomniał i sławy,
I wielkich przodków wielkiego imienia;
Mało się mieszka do publicznej sprawy
Nie pragnie więcej godności znaczenia.
Stąd jak teraz w dzień herszynny siędzi,
Lub w grodzie szlachty na wiecu sprawnej,
Bo chętnie jadą do niego sąsiedzi
Z odległej nawet oddalonej.
Że dawno nie był w tańcu z Tatarami,
Więc hołdu w zamku swym huczne biesiady,
Złotymi pijąc z szlachtą pucharami,
Gotów z żelazem do zemsty i zdrady.
Mały Tatarzyn a przy nim dwa charty
Czekają zawsze na pańskie skinienia
A jame tylko pierś by im rozdarty
Ogniowe pana okropne wspomnienia
I teraz patrzą po sobie a z trwogą,
Bo od dni kilku starosta gdzieś chodzi,
A zawsze w nocy i z jaką drogą
Przebywa niekiedy sam jeden na łodzi.
Choć szlachtę sprasza, winem raczy hojnie
Czemuż niemoże podzielać uciechy?
Wciąż dzikim wzrokiem patrzy niespokojnie
Jak gdyby stłyszał gdzie szatańskie śmiechy.
A kiedy to ust pełną czarę
I napój stąd ich wypić jak spragniony,
Wnet w obłąkaniu widział jakąś marę,
I biegł od ludzi dziki i szalony.

To pośród szmeru dilku wodotrysków
Co wschodnich kwiatów liście szeptające
Skrapiają rosą lśniącą od potysków,
Dwiżdżał usta namiętnie gorące,
To się przechadzał przez długie komnaty,
Na których ścianach roskwitowne obicia,
Tkane we wzory i precudne kwiaty,
Niby prawdziwe choć niemiały życia
I zarane namiętnaścią złota
Rzekąz zbrodniarza przed tynem drgającą,
I ~~żarł~~ palący wzrokiem palącym wodziła
Kiedy zobaczył dziewicę płaczącą. IV Maryja
IV.
Któż to ty córka starosty, czy żona?
Piękna jak anioł strzegący dziecinę, —
Nikt nie wie kto to jest albo zkąd ona,
Biedny Pan przy niej spędzo wieczorne godziny.
Zaledwie kilka dni dołąd minęły, —
Gdy raz o samej północy u bramy
Dwa narazkonie upienione stanęły,
Dwa na nich jeźdźcy — jak dwie czarne plamy —
Wnet na znak dany skrzypnęły zawiasy,
Wpadli — jeden na nich krzyknął: niech śpi ludzi
Będzie na murach do straży gdzie lasy,
Pamiętaj chamy — niech mnie nikt nie budzi!
Zaraz poznano głos pana starosty:
Giermek zskoczywszy puścił konia z uzdy;
Już dźwigano dwa ciężkie worki,
Już stychał było zbrojnych kroków i dźwięku:
I wśród tej ciemnej, uprzątnionej nocy,
Jak pan Starosta trzymał w swych ramionach
Zsiadając z konia przy giermka pomocy
Jakąś niewiastę w białych obłonach. —

Westchnęła ciężko i milcząc ozta z myśla
Czarną jak noc la, w której ją porwano:
Nie! za mną pogoń pewnie ojciec puścił,
Leczgdyby tylko - gdzie jestem - wiedziano.
Wreszcie królowi upadnie przed nogi
Opawie zdradę, o łaskę poprosi,
Przemocą wejdzie w te zhańbione progi
Jam mu ~~jego~~ dusiciela przeklęte słowo ogłosi.
Weszli do komnat. Siermak się oddalił
A pan Starosta usiadł na sąsiedzie,
Spojrzał na jeńca - wzrok mu się zapalił -
Drżał - w obłąkanym znajdował się stanie.
I widział w duszy ~~złej~~ nocy wspomnienie
Krzyk - ogień - ~~szable~~ miecze - popowiedzty z rozpaczy -
Uderzka - pogoń - czarne nocy cienie -
Ha! krzyknął, przedto to wszystko przebaczy!
I powstał blady jak upiór grobowy
I w dłonie zimne ujął dłoń dziewicy
I temi do niej odezwał się słowy:
„Maryjo! niebój się wszystko w tajemnicy!
„Nikt się nie dowie - gdzie jesteś - gdzie żyjesz.
„Nikt nas nie pozna - dwie barwy twarzy zdarty
„Moją siermięga, a tu się ukryjesz!
„Tu się obronisz od przemocy siły.
„Te mury ojca zemsta nierozbędzie,
„Ani gniew Króla. Tu wszczęcia nawale
„Zapomnisz wszystko, a gdzie złapiesz wszędzie
„Odpoczniesz będziesz jak w rozkoszy szale.
„Sypię tabędziz wszędzie ci złotem,
„Wszędzie warkocze powplatasz rubiny,
„Połysk ogrodów dwiatach płaszcz lotem
„Będziesz biegała na roże, maliny.

„Suknie z jedwabiu, szale z Kaszmiru
„Będą cię zdobić
„Zrucić twe ubiory i z biegli i z kiru!
„Zdobić cię będą, sułtanko seraju
„Wszystkie z jedwabiu, i szale z Kaszmiru
„Twy służebnice ~~aż z Ukrzynów~~ gdzieś aż z Gruzinów ubraju!
„Powiedz, co więcej pragnąć możesz jeszcze
„Dla ciebie wszystko, co żądasz, wykonam,
„A gdy dzień ujrzę na mej życia ścieżce
„W nóg twych pozwól, niech szczęśliwy skonam!
„Maryjo! dla ciebie wszystko poświęciłem,—
„Ty jedynym za to odpowiedz wyrazem,
„Maryjo! ja cię kocham, ja dla ciebie żyłem
„Dla ciebie jestem szalona obrazem!!!

Rzekł — i dłoń jej upuścił z swej ręki,
Zachwiał się — upadł — i leżąc na ziemi
Usta wykrzywiał — jak wzrok straconej męki
~~I znowu coś mówił cicho~~ drżąc na mówiąc
I stawam cichemi.

Nim słońce zeszło w Dniepr się przeglądać
Już służebnice rzekały przy pani
Aby wykonać co ta będzie żądać
Lub myśl tę przerwać, co jej serce rani
Lecz Maryja nie śpi, nie drzemie, nie marzy,
Bo ~~w duszy~~ cała przeszłość stanęła przed nią,
Łzy — w nadbrzeżu — a na pięknej twarzy
Łza wielka jedna po drugiej się toczy.
Z cichej zagrody ~~domu~~ zdradziecko porwana
Od ojca, matki, pieśni kochanka,
Gdzie stąd uciekną? z rąk możnego pana!
Sierota teraz niewolnica branka!
Wie te pałace — bogate komnaty
Będą więzieniem — stolec hajdanami;

Boże ja kocham ja — mężnie jedyna — Kocham ja ~~ostatni~~ pokutnicy — kiedy o zmarłe lub zdrowie będą ~~ja~~ upadać rozpaczać w dniu przeszłości które umarły z pamięci jego życia

~~Nawet księżyca promień o~~
~~Blaskiem~~ księżyca pieszczone szczerbaty
Będą sądnoty i też mych świadkami!?
O tego wstydu i hańby niezbytam
~~Nie~~ ~~obejmiesz~~ – ~~jego~~ ~~żona~~ trupie jego – –
Pójść na niebie, niech próżno niewolam
Wysłuchaj głosu i płaczu cichego!
Głowę i ręce omdlałe zwiesiwszy
Na mszydle z puchu dziewicze postanie
Choć jeszcze jasną oczy, nieśpi, a jéj lica białe
Jeszcze bledszemi jak ranne świtanie!
Gdy dzień zajaśniał, dzień cudny niepowy,
Maryja w swéj siedzi samotna komnacie
A pan Starosta znów przyszedł, już zdrowy
W nowéj, bogatszéj jak weselnéj szacie!
I mówił długo, prosił, groził wreszcie
Że ją przymusi, że opór daremny,
Wychodząc dodał: Dzisiejszéj się spieszcie
~~Obyście~~ Wybrać pani, nim zmrok padnie ciemny.
Maryjo pamiętaj cześć dziś moją żoną!
Wyszedł – a za nim ~~w~~ głos echem powtórzył:
~~Żoną!~~ ~~Maryja~~ ~~moją~~ ~~przeznaczoną~~
Jutro na wieki Utraconą! utraconą!
Utraconą – jeszcze on dodał ze śmiechem.
~~Nikt~~ ~~Ego~~ ~~nie~~ ~~odstrzyma~~, ~~nikt~~ ~~mnie~~ ~~nie~~ ~~zabroni~~.
Przeklnij mnie Luby żem wiary dla Ciebie
Niemogła tutaj dochować na ziemi,
Ale tam kiedyś – tam wysoko w niebie
Powiadam Ciebie znów usty szczerem:
O Luby, ~~Zadrzewa~~ przyślij mi ostre żelazo,
Niby podarek weselny kochanka,
A ~~wtedy~~ widzę Maryja nie umrze ze strachu
Lecz wyjdzie radośnie na tej białej łące.

Umiłkła Maryja a piękne Greczynki
Przynoszą jéj kosztowne ubrania,
I co do ślubu potrzeba: barwinki,
Róże i wieniec, co skronie osłania.
Złote pręgaski, tańczuchy, pierścienie,
Perły z zatłgłych głębin morza, wód
Lśniące łopazy jak niebios sklepienie,
Szafiry jasne jak tuna pożaru.
Maryja spojrzała — jéj oczy krapione
Blaskiem tych świateł, jakby tęczawicą,
Wnet się zwróciły w inną miłą stronę,
Skąd urosła prędzéj pod źrenicą.
Tak Maryja czeka okropnéj godziny,
Chwila jéj rokiem, godziny wiekami,
O błaz Dziewico! bo wnet krew Boliny
Kochanek będzie twój polewał łzami!

V. Ślub. Ksiądz Madary.

W podziemnych zamku sklepieniach tam stoi
Pobożnych przodków starosły kaplica;
Jedno w niéj okno naprzeciw podwoi,
Przez nie też wpadnie razem blask księżyca.
Tu oni zmarłych w rodzinie składali,
Tu chętnie w modłach szukali pociechy,
Tutaj i świętéj ofiary słuchali
I przed kapłanem wyznawali grzechy.
Lecz od tych czasów zamku tym obszarpia mieszka
Nikt i on niebyt w téj ojców świątyni,
Zda prochem do niéj przypada ociężka,
Nikt w niéj ni modłów, ni ofiar nie czyni.
A dzikie nawet potamały już słupów
W czarnym marmurze słusznie wyciosanych,

Lub ciężar sklepień, lub też ciężar trapów
W trumnach z metalu o nich opieranych.
Tu – tu, dziś miały być ślubu obrzędy.
Więc zapalono dwie świece w ołtarzu –
Kropidło – woda – a resztę przez względy
Miało się odbyć później – na cmentarzu –!
Już i zakonnik z bliskiego klasztoru
Stanął na zimnym zapylonym schodzie;
Twarz miał pogodną – pewnie dla pozoru –,
Bo często ręką pociągał po brodzie.
A wtedy dawał wszystkim do poznania,
Że trudno w takich chwilach zgodzić rzeczy
Ludzkie i boskie, na takie zadania,
Mawiał, że płytki jest rozum człowieczy.
On – dziś starowszek – był wprzód kapelanem
W tym zamku, kiedy żył ojciec starosty,
Bardzo lubiany – uczony – dumny stanem,
W dzisiym grzech nikłą pokuty i skłosty.
Kiedy zaś objął pan ojcu włości
I zamek, wtedy ksiądz Madary znowu
Był przymuszony dla Boga miłości
Iść do klasztoru, wierny swemu słowu.
Choć tak niegodnie postąpił pan nowy,
Przecież się nigdy nie żalił nie skarżył,
I dotąd wiódł swój żywot surowy
I dla odgwaru i ludzkich pokwarzy.
Dopiero dzisiaj pan Starosta prosił
By ksiądz Madary przyjechał z ornatem
A w liście coś mu pod notą doniósł, –
I dodał żeby z tem milczał przed światem.
Tak ksiądz Madary mieszkając o mszarem
Jest dziś w kaplicy i słucha ciekawy,

Bo zda mu się stłyszy ~~godzić z pla~~ zwołaniem dziewiczem
Głos dzika bzmiący wśród krzyku i wrzawy.

VI Ślub.

Już słońce gaśnie ostatnie promienie
Światłem oblały złocony 3 razy zamku.
A w dali pomrok, za nim nocy cienie,
A bliżej słychać jakby dwa jęczą dzwony.
Te, śniegu szumny i szept rozpowieścią,
Co zawiść w górze pod jasnym błękitem
Ciszę zmieszają; ~~ale~~ nie śpiesz ptaku luby
Będzie zmiat ~~godzin~~ mury przed poranka świtem
O Dnieprze obmyjesz lwie skrwawione szpony,
Dziób ostrzesz ostry na wyspie ukale,
A wtedy bardziej polubisz te strony
I wiązce zillich, wesbranych wód fale.
Czekaj! — Już idzie jak widmo zarazy
Starosta w ślubne ustrojony szaty,
Dłoń jego zimna jak kamienia głazy
Otwiera zwolna drzwi znanej komnaty.
Wszedł już — spoć i wzrokiem potoczył do koła,
Krew obiegła wzięty, usta mu zadrżały,
Ręce do ognia tłuczego wzniósł czoła
Obyt a tej chwili jakby zdumiewały.
Ha! niewolnico, jeszcześ niedobrana
Wzad dziś ślub nasz — a tyś moją żoną —
Płacz, czy w dziadu może zadobrana,
Idź, a po ślubie westchniesz podkowną — — —!
Miłczysz! więc siły użyję uparta —
Giermku! chodź pomóż zwlec tam do kaplicy —
Niech teraz używa pomocy czarta,
Dalej — ~~trzymaj~~ ~~mocno~~
i niech ~~ucieka~~ o Pomocy Króla i świętej Dziewicy.

Jobaj ośmielili; ten zemstą ten zgrozą
Porwali Maryją bezsilną, omdlałą;
Już są na dole, choć ciemno nie widzą;
Już są co kaplicy z mozołą tak matą.
I pan Starosta skwapił stań kochanki,
Sam uklęknął przodko, skinął na kapłana
Leż, — — ksiądz Makary, — jak rycerz gdy wstrzymki
Ustąpi — rozpoznał, że przy nim przegrana. —
Spojrzał na parę u stopni ołtarza,
Zbladł, i cofnął się, i nim nawić zdołał,
Maryja tak rzekła: „to niebo tak zdarza
Że ten oto zbrodniarz kutaj cię powołał.
Ojcze, kapłanie, nuż litość nademną,
Nie tąsz nas, nie tąsz: to nie mąż, nie żona
~~Ja ~~ jego ~~nieboż~~ nigdy ~~narzeczo~~ jego żoną
Bo wiedz, że ja tu niedawno w noc ciemną
Zostałam przez niego zdradą uwieziona.
On ojca może nawet ojca mego za ——, dość
Ty kapłanie, zrozumiesz zdarzenie!
Wzdrygnął Starosta przeklęty, skruchlały,
Umierającą nędzna, gin na piekieł radość,
I ty kapłanie, żeś słuchał zuchwały.
Porwał za rzadzel, wyciągnął miecz ~~ulśniący~~
I ~~spytał: czy chcesz~~ Błysnął Raz nim zabłysnął w palonym przedsionku
Maryja nieżyła — trup upadający
Zrazu mu wytrącił to śmierci narzędzie.
Padniósł go prędko Starosta ze ziemi,
Otarł o wylot ~~zbroczone~~ drwiąc ostrze zbroczone,
Spojrzał przed siebie oczami rysiemi
I za nagle winną odwrócił się stronę.
Skoczył przed ołtarz — przez spienione usta
Zapytał starca: zdradzisz tajemnicę?!
Lecz ten zlękniony i blady jak chusta
Drżał Arcidz, chcąc opuścić zhańbioną kapliczę.

Pan Bóg był świadkiem — pamiętaj on Bogiem
Nigdy ten zbrodni nie może darować,
Jego imieniem za kaplicy progiem
Ja cię przeklinam, że że śmiałeś mordować —!
Ostatnim słowem upadł ksiądz Mateusz
I była cisza, bo zmarli zostali —
Dłuto powrócił, powrócił bez wiary,
Jak sternik płynąc po wzburzonej fali.
Zwiecie pogasły noc dzwon o kaplicy ciemna
Kiedy Starosta powracał po ślubie;
Jakim był wtedy nie opisać daremna,
Dość że był strasznym po kochanki zgubie!
Gdy z podziemnego wyszedł już sklepienia
Ganął w wnijścia VII Zakonnicy i spojrzał do dołu,
Bo głos usłyszał — był to głos z sumienia,
On jednak myślał że trup dóry woła.
Więc drzwi zatrzasnął — klucz wyjął — i spieszy
Chwiejno i blado jak w grozie lutaszy,
I otrzymał jak ten, co się zemsty cieszy:
Niebo niemoże, więc piekło przebaczy — —!

VII Zakonnik w Oliwie

Cóż to za zmiana i nasuć życia,
Co za różnica i w myślach i w stosunkach
Od czasu mego w tej celi pobycia,
Od czasu gdym jest w zakonu ordynarii
Lat temu dziesięć prawie (już dziesięć) upływa,
Kiedym porzucił rozkosze, bogactwa,
Gdym rozdarł wszelkie ze światem ostatnie więzy
I obrał drogę nędzy i tułactwa
Lat dziesięć — dłóż mnie dobre pójść zdoła —,
Ile to było dni pełnych gorzkiej

Ile przybrała zmarszczków skóra czoła,
Ile lat spadło — ach kłóż je policzy.
O ciężkie nieraz w mej piersi westchnienia
Nędzny serce już dość poraniony,
Ten o przeszłości i mary wspomnienia
Sprawiały w duszy boleści szalone.
A wtedy siadłem do okna mej celi
Patrząc na fale spokojnego morza
Lecące z myślami szybko jak anioł
Prosto aż ku niebu w te dwiatów przestworza.
A potem wziąwszy księgi świętej wiary
Czytałem długo, swobodnie i zapatem,
Albom się modlił, lub odprawiał kary
Które za grzechy ciężkie obłatem.
Albo różańca przesuwając znaki
Chodziłem potrosz drzew tego ogrodu,
To znów karmiłem u okna dzikie ptaki,
Które tu w celi mej szukały chłodu.
Trzy razy na dzień i w nocy trzy razy
Szedłem na wspólne do świątyni modły,
Tam — bo tak każe zakon skromne — milcząc jak głazy
Myśli niewiadome nam bladły i chłodły.
Tak biegły dwoile w tych murach klasztoru
Im bliżej grobu tem krótkiej trwające,
Pobożne śpiewy każdego wieczoru
Skracały jeszcze godziny biegące.
A jako żeglarz na morzu wzburzonem
W łodzi tłodzi między niebem a wodą,
Tak ja w tej celi, pomiędzy mi nionem
Życiem burzliwem — a krótką swobodą.
Dzisiaj strudzony tą życia podróżą
Dźwigając ciężar wcześniej lat

Jak krew więdnieje ~~bo byłem już różą~~ który kwitnąć mógł różą,
A więdnąć muszę, bo jestem w przedsionku.
Znowu myśl czarna — przez łzy mi zasłana,
I w imię ojca i Syna i Ducha,
Niech się zagoi, ta okropna rana,
Niech Bóg wysłucha próśb moich na łonie wystawionych!
Czuję — że blisko cel mojej wędrówki,
Ale, nieszczęsny, czy ~~cel~~ osiągnąć zdołam?!
~~Czytelnik drogi!~~ Czuję, moje-to nie czucie
~~Chyłkiem za starość — za pożądanie~~ mrówki
~~Badawcze dłonie~~ i Gdzie ~~ta~~ ojczyzny twoje Heroski przeszłe.
~~Co mają~~ ~~Co~~ ~~mitologia~~ dawne,
~~Wiją~~ ~~ofiary~~ ~~ołtarz~~, ~~ołtarz~~ ~~miłości~~ manery
~~Co mają~~ ~~Ołtarz~~ ~~hańby~~ ~~podłości~~ ~~prozy~~ ~~teraz~~ hańby ~~i~~ krwawej
~~Czy~~ ~~mogę~~ ~~z~~ ~~tobą~~ ~~tego~~ ~~mieć~~ ~~to~~ ~~mam~~ ~~mieć~~ nadziei
~~Chcę~~ ~~Jadam~~ ~~pracy~~ ~~sochą~~ ~~błędne~~ ~~po~~ ~~piekielnego~~ ~~gościa~~ ~~Czy~~ ~~mogę~~ Czy mogę ~~Czy~~ ~~mogę~~ bliższe
~~Ty~~ ~~Ty~~, ~~który~~ ~~wozyłeś~~ ~~skarb~~ ~~po~~ ~~kolei~~ Zapytaj wnętrze wnętrze
O czemuż słuna nie dognęła pociechy,
~~Gdy~~ Aby mi mogła ~~pokoju~~ i duszę rozweselić —
Bo inny cel ja i za wielkie łzy grzechy,
Co raz złączona, nie można rozdzielić! — — — —
Otwórz okno wzrok ~~do~~ jeszcze dzień jasny,
~~Jak~~ mi tu duszno — czy mi jest za mało to,
~~Czy~~ mgła ~~Czy~~ ~~len~~ kalić ~~jest~~ ~~katolicka~~ czy,
Czy może śmierci obawiać się ciała?!
~~Patrz!~~ ~~jakie~~ cuda i dzieła w naturze!
Widzę i czuję wszędzie w nich Boga moc,
Gdy na morzu odrzut i w chmurze
Piorun błyska, a ~~kędy~~ wszędzie, tam droga — — —?!
Dziwna — ziem widziem choć ~~nawet~~ zgrzybiały,
Chociaż źrenice już pogasły prawie,
Chociaż włos ~~każdy~~ dobrze posiwiały
I sztuk przy ludzi przylepił się ~~w~~ zdawie,
Przecież mam uczuć i żyć tyle jeszcze
Ile ich dusza mieć może młodzieńca

Kiedy się budzą w nim pragnienia wieczne,
Myśli i piersi ożywia zapalenica. — — —
— — — Ale dziwniejszem że od dni już kilku
Jakaś [illegible] nocna ogarnia niezmana
Chwile ostatnie, tak — bom jest na schyłku —
I woni mnie czeka sąd strasznego pana! — —
— — Ach! me westchnienia co wzdraca, przerywa,
Czarny [illegible] mój duszy [illegible] zachodzi
Głos jakiś we mnie się odzywa,
Daremnie ciało moje się pogrąża.
A już od wczorajszej jestem słaby,
I zdrań mą pali ogień gorączkowy,
I żżymy jestem na wszystkie zapachy,
Smutek mnie objął głębodki, grobowy.
To posty śmierci — więc umierać trzeba —;
Ha straszno temu, kto zostat przeklęty,
Bo taki — stoi to w piśmie — do nieba
Ma wchód na wieki — na wieki zamknięty.
— Dość, dość tych myśli: stań się wola Boga!
Sen me powieki zamyka — więc może
Tymczasem przebrzmi ta mila złowroga!
[illegible] Ho mnie widziałodzie na bolesnicie.

VIII. Ksiądz Proboszcz

Jakoś źle biedny nasz Leon wygląda. —
Już trzecia moja dziś wtasnie sobota
Jak się położył, — spowiedzi dla zgoła —,
Znać że go życia opuszcza ochota.
Wyniędzniał bardzo przez przeciąg choroby,
A dziwna słabość jak to sam wciąż,
Mówi w gorączce że trupy i groby
Widzi i marą, co ma mu piersi gniecie.

Oczy mu zlidim blaskiem się oblały,
Usta boleśnie wciąż skarżyć się zdają,
A gdy się zbudzi giną senne szaty,
Słowa pokorną modlitwy wracają.
Szkoda go wielka – lat ~~zresztą~~ wielu tu przeżył
W cnocie zadonnej, w pokucie za grzechy,
Surowy – łzami żal za życiem świeckiem –
Uciekał z miejsca, gdzie usłyszał śmiechy.
Był wszystkim wzorem miłości, pokory
I posłuszeństwa dla przełożonego,
A lat gorliwy w wieku, ~~że~~ już chory
Chciał wstać na modły wspólne z łoża swego.
Szkoda Leona ~~(ach)~~ prośmy zań ~~Pana~~ Boga:
Może go znowu ujrzym w naszem kole,
Może się życia nieskończyła droga
Dla niego na tym nieszczęsnem padole.
Lecz – trzeba wolę wypełnić chorego,
Chleb żywota i kapłana posłać,
Księdza Dawida z nas tu najstarszego
Posełam niechaj mu niebo ogłosi.
Bo już mrzyje pocieszny Marany –
Niech mu da wieczny odpoczynek panie!
– Wierny! – chór reszty powtórzył. – Dla ofiary
Przepadł bez wieści – daremne czekanie! –
A my tymczasem pójdźmy go pocieszać (albo: pójdźmy chorego)
A może razem pożegnać na wieki,
I raz ostatni spotkać jego mieszać
Zkamieniałe martwe martwego powieki:
„Bądź wola Twoja" ~~pan~~ dodał przełożony,
– W niebie i na ziemi – rzekli wszyscy razem. –
W tem głucho jęknły dwa na wieży dzwony,
I Msza za chorego przed ~~świętym~~ obrazem".
Marji

Jak mówił przeor – do braci zakonu, –
Stary już wiekiem lecz silny i duszy
Hartem i zdrowiem, choć teraz dla tonu
Opuścił rzęs i myśl twardą skruszy.
Bo na nim zawsze wspomnienie o grobie
Jakieś robiło niemiłe wrażenia,
Choć zawsze ✠ myślał o Bogu i sobie
Życia swego dochodził znaczenia.
Nic w tem dziwnego: był starcem – słowieckiem –
Za nim wędrówki dwie ulatywały –
A przed nim przyszłość – długa – wielkiem wiekiem –
A w życiu były jego ideały. ———
Jak doszli do drzwi celi – zwolna wchodzą –
Stają u łoża. – Chory zwrócił wzrokiem
Uwielbiony ciężko – myśli myśli rodzą –
Gdzieś niemi przebiegł świat wokół szerokiem. ––
Milczy – a przeor wyjął dłoń chorego,
Przemawia słowem pociechy nadziei,
Wspomnień szczęście minionego określa przyszłego
Kończąc że takiż burdzichlos dolei:
Po milczy chwili i tak odpowiada,
Żal, co na wyblakłe śpiżnęła lica, –
Cała swej siły podnosząc się siada –
Patrzy – raz jeszcze życiem się zachwyca.
Już stychał kroki zwolna idącego –
Drzwi się otwarły – był to ksiądz Ayrida:
Wnet wszyscy wyszli z celi oprócz tego
Co teraz w księdze żywota swego czyta.
Zostali sami, spowiedzi z grzechami dnia,
Ten co zawsze, jak wierność jest wszędzie – –
Kapłan przeżegnał drżącą z hebanu krzyżykiem
Tego, co w jednym zostawał obłędzie.

Bo chory ciągle w myślach zatopiony —
Oko swe utkwił gdzieś w dali — daleko —
Może wspomina sobie lube strony,
Gdzie z piersi matki dzieciątkiem ssał mleko. —
I ~~A~~ żaby bolu nie czuł — nie rozumiał
Tego, co teraz może gdy umiera
Słyszy jak niegdyś za koniem wiatr szumiał,
~~Ja~~ A teraz tono rozpacz mu rozdziera.
Widzi te stepy — Kozacy — Tatarzy —
Tatarzy i rzezie, i miasta wspaniałe —
~~Dzieciństwa krótka, bodaj przykra, marzy~~ I Ukraina i lipka tam
~~Widziała ~~Kozacy~~ ~~ona~~ ~~w~~ rzezie ~~cała~~ i życie całe~~ Widziała Kozacy i rzezie i życie całe
~~Całe pokolenie, które przed nim zbladło~~
Wtem wjazd Dwita, gdy z dworzyt modlitwy,
Jakie spowiednik nad chorym odmawia,
Jakby zabronić chciał dalszej gawędy
Myślom Levna, ~~ich~~ mi pozdrawia
Po raz ostatni kilka chwil żywota,
Oko swe w jego ~~źrenicach~~ utopił źrenicach
I widział burzę przeszłości co minęła
Cały swój oddech po chorego licach,
I widział słabe powolne krwi bicie
Wiele pożółkłem gorączkowym bolem,
I widział może całe jego życie,
Boże że zrozumiał pięknem jakiem sokołem
Że wysilenie ostatnie nadchodzi.
Spadł więc przy nogach na łóżu chorego,
I wyrwał ~~ona~~ ~~z~~ ~~ręki~~ ~~modlitewnik~~ ~~z~~ ~~rozwarł~~ ~~przed~~ ~~nim~~ ~~i~~ ~~zaczął~~ ~~czytać~~ ~~głośno~~ ~~modlitwę~~ ~~za~~ ~~zmarłych~~ ~~i~~ ~~wyraźnie~~ ~~głośno~~ ~~czytał~~ ~~modlitwę~~ ~~za~~ ~~zmarłych~~
Ku temu co biegł długo po bezdrożu.

IX Ostatni

Gdy tak przez chwilę w milczeniu siedzieli,
Pierwszy znów przerwał spowiednik tę ciszę.
Bracie Leonie, szczęść może niedzieli
Jutra, nie żyjący już, znów wieść niech usłyszę
Twych ostatnich raz grzechy i skargi,
Które Ci spokój chcą sumienia kłócić,
Mów mi śmiertelna gładzi na twe wargi
Łzą pokuty, znów do łona wrócić,
Wszak wiesz że drogę masz długą przed sobą,
Po niej gdy pójdziesz z przebłyskiem z tego świata
Cnota twej duszy musi być dzbanem
Musi być czysty jak ów co ulata
U stopień naszych kamiennych ołtarzy,
Wtedy cię czeka szczęśliwość tam — w niebie!

Tak, rzecze Leon, cobądź się wydarzy
Czasby już było spoglądać przed siebie,
Czas, jak to mówisz. Jam ojcze, sumieniu
Ulżyć spowiedzią przed tobą, przed Bogiem,
Bo dziś zapóźno już w błagalnem pieniu
Żebrać o łaskę przed świętym progiem.
Lecz wiem coraz mniej — zanim życia dzieje
W świętej przed tobą powiedzieć spowiedzi;
Nim serce głowo każde przebaleje
I powie jaki robak wewnątrz siedzi;
To już i usta me zamknie sen wieczny
Zimna dręka zimna w twej dłoni zostanie.
Jednak, gdy rozkaz twój ojcze domowy,
Słuchaj, to moje najszczersze wyznanie.

Spowiednik zrobił krzyż nad jego głową

I ku choremu schyliły się i rzekła. —
A Leon westchnął głęboko i mowę
Umierającego przerwał człowieczka.

„Księże — ty, który [illegible] prowadzić
Musisz mnie jeszcze na drogę wierności,
Klnę cię, nieznużaj mnie [illegible] zgonie zdradzić,
Nie wspomnij nawet na te krzywdy dawności!
[illegible] Nie [illegible] do mojej Ukrainy
[illegible] Więcej [illegible] do mojej Ukrainy
[illegible] [illegible] Ani do mego miejsca
Niech nikt z żyjących przeklętej rodziny
Imieniem [illegible] jego nie wzmiankuje.
Znasz pewnie zamek [illegible] dumnie
Jak może żaden [illegible] złej strony,
Leży nad samym [illegible] i ozdobnie
Dzięki i wsiom [illegible] brzeg Dniepru okrążony,
Jak ciało węża w przeróżnych [illegible]
Podtrzymuje swemi kamiennemi stopy,
Które nie zmiótł [illegible] ziemi trzęsieniach,
Ani ich wreszcie [illegible] potopy.
Wszak znasz Budziłów, [illegible] jedynasty,
Tam to wśród cudów natury i nieba
Świat ten ujrzałem, i tam między chwasty,
Trawy, huzany i trzciny nad brzegiem
Dziecko motyle gonitem [illegible] trzeba
Myśli utrwożone, jak tabędzie śmiałe
Wypłyście [illegible] niechaj na te miejsca lecą,
Niech żywią [illegible] [illegible] przed ozyma,
Niech tłuszcz przed zgonem w nich jeszcze zaufa,
A śmierć [illegible] przejdzie się wolnymi!
— Co, idzie kapłanie?, to nadto zawcześnie!
Czemu spoglądasz tak dziwnie, mętnie,

Coś mówisz, wzdychasz przeszyta, boleśnie,
Jakby twe serce wszystko przeszłe miało.
Nic nie przeszkwa, a jeśli pragnie
To ledwie, jeden łyk konania ... arfy;
Myśl twoją ojcze wstrzymuj, bo się zagnie
Jak nóż na stali, świecącej z pod szarfy.
Słuchaj mnie dalej, bo czas ~~coś mówić~~ już ostatki
A dużo – dużo dusz albym ~~tak mówił~~ wziął
~~Gdy co raz nowe~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~
~~Aby żałobnych dużo~~ ~~[illegible]~~ ~~z ciemnych mułu~~
~~Krok~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~
~~Aby już pułk~~ ~~[illegible]~~ ~~z grobu~~
~~Gdy~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~
A więc mnie słuchaj. Miałem serce lekkie
Jak mi ubiegły szybko i swobodnie
Jak mieszczuszkowym kilka chwil rozkoszy,
Których niż życia nudy droższa strata!
Ach, ojcze, śmiej się ze mną jak tą godnie
Jakbym ja wtedy – kochał nie! twój śmiech mi straszy!
A przecież miałem i ojca i matkę
Choć siostry żadnej ani żadnych braci:
Ojciec stalową przywodził mi siatkę
Uczył końmi kłaść, szablą brać turbany
Często powiat mi cały i nasz Bohdan wytrac
Kiedyś do stołu ~~[illegible]~~ dzikie
Patrzaj jak wpada, strąca i goni,
A kula jego nie chybi raz głowy,
Gdy mu z złotistej pół rzęzyc zadzwoni,
Z niego dla konia kaze kuc podkowy.
A matka moja, syna jedynaka
Kochając zbytnią już prawie miłością,
Szczęścia jakiego – ach, bo ona taka,
Jak anioł była – z dziwną spokojnością
Znosiła życia i trwogi i bole
I mnie ich znosić podobnie uczyła.
O, dziś bym ognia nie miał na mem
czole,

Gdyby był Kilda była ona tużej zyta.
Ja uważałem już wtenczas że ona
W swem łonie kolesi pojemną skryta
Kryta, bo zapyrana, kiedy była renna,
Odpowiedź była w jednej tylko sztuczka na.
Dobrze mi było z tem zjucem bez trosk
Na tonie matki, na ojca kolanach
Śnić, albo patrzeć na zagrody wiosk
Z wież zamku mego ojca wojewody,
Lub pieszo biegać po stepu kurhanach
Lub motyle zbierać nad Dniepru brzegami.
Tak to mi trawa na stole pogody
Zatem się narazie - młodzieńcem latami.
Serce mi raźniej bito na astroni,
W duszy coś głośno mi cuy mownie śpiewało,
Krew nabiegała do oczu i skroni
Żyła mi wtedy - żyła się zachciało.
I chęci rozpękłe myśli rozognione,
Mary i widma, pragnienia, zgroza
Chęci, uczucia, marzenia zalone - -
- Ach ojcze przebacz, jeśli czasem błądzę
I mówię wtedy - wspomnienie przerywa -
A wiecznie czem jest wspomnienie nad grobem?
Lecz cicho - życia jej niewiele zbywa
Wieś woniuś powieści - najkrótszym sposobem.

Gdy się tak dziwna maska nieba zwarła
A cenie ziemię bardziej pokochałe,
Siadłem na konia, bo kolicka wołała
Szlachtę do walki, bo jej krzywdę chciała
Królowi pani odmówić hołd winny.
Jej nie wyrwiół Dzieliny hańbie zbójny.
Bitem a nos mój nie był przy dziecinny,
I powróciłem ze sławą z tej wojny.
Wrok potem jadąc zostałem ziemcą
Aby król mi darował Starorzeczą bogatą,
A w zapomnieniu pytał zbroję złotą
Lew który mi wrócił mojej matki stratę.
Odkąd mi tęsknią matki nie zagrany,
Ani też przestroj jej niestygnie wiosny,
Od złego grobu ojca nie wstrzymany
Tylko zarobiony pragnąłem gorzej.
Skarbce moich przodków otworzyłem,
Sypałem garścią perły wozyłem złoto
Komnaty smutne szczerbatem obiłem,
Czemu z nich przodków myśl nie wiedziała mnoło!
Stanęła wnętrzka okolicznie z gwarem
Zamek samotny dokoła — ożywiała,
Z pieśniami w ustach i w rękach z puharem
Dzień [illegible] Jeden mijała
Świt mię witali. Wtem była na chwała!
A wierni moi rozpuszczą druhowie
Szli ze mną dniami na step na łowy

Lub pomagali zajechać Zgriska,
Sejmiki zrywać, rabać co się zowie
Na Ukrainie bunt rozniecać nowy
W własnej ojczyźnie — o biada mi biada!
A w Domu znowu przy Greków murze
Szalałem wśród tej rozdanej przyjaźni
Wśród cen przeklętej [przeklętego] dziewicze
Zwodów i krzyków nitz w lubieżne tany. —
Surowy kapłan był na moim dworze
Spowiednik ojca i przyjaciel jego.
On błędy moje gniewał choć w pokorze
On jeden tylko wytykał — przyszłego
Życia ustawnie groził mi karami —
A pan był głuchy i ślepy zarazem
Chociaż mu często mówiłem se łzami
Tem ja niewinny iż nie jeno starem
Do tej dziwnego coś [drżało] w mej duszy drżało
Jakaś gorączka myśli mi paliła
Widma w rozkoszne ustrojone ciało
I życia dowiec — ołtarza mojita
Słowiańszczyzna [Rodnita] we mnie snat nie opisany
Waldy uruma i zmysłów stronkiewa
Co mi sprowiała katusze i rany
I zgotowała przyszłość nienagliwą.
Wreszcie skargowy dziś w zamroczeniu
Znękany burzą co w duszy szurała

Upodlony jére – przebaw przy schodach
O bo to boli – o tak ujść to boli
O jéreg bobie nie znane ke bole!
Patrz, na mnie i zgdź ostrożnie powoli
Bo przecie już już czuję na skroni i obole!
Twierdzom robić? ale uprzedniem
Jak pan – kasztanowego starca z cichej jeli
Podłożnowu o. spokojnie żyłem
I drużyny moją zgrodzoną weseli! –

Znowu tłumy, zajazdy, biesiady,
Słodycz w rękach, bluźnierstwa na ustach,
Weneckie na nim
Na czole zamku mandarady,
Mity się tłumy w różnobarwnych chustach.
Gdy mi się życie w komnatach sprzykrzyło
Ponad tem turkań bić wrogie zaczęły,
Otam się znowu tak wesoło żyło,
Hussarze w bój my lecieli jak szpczy.
I zwycięzcy dzielnych ja szyki tamtam
Z Litwy za Smoleńsk rozwoną hel mordy –
Ale najwięcej to stawy rzniętem
Gdym rozbił Mengli-gierejowe hordy.
Tam z życiem wojny do reszty zdzierałem,
Potem wróciłem do mojego grodu –

Gdzie nowe hańby na mój ród zwalałem
Straciłem tytuł króla i narodu.
Gdy mi groziono klątwą i wygnaniem,
Sypałem z mienia króla i senatu
Odpuściałem im ojcowskiem zrzuceniem
I skutek miałby to mojego powiatu.
Życie! ta walka wnet myśli otrzeźwia
Wnyrtkuł zgryz jego, pragnień i niedoli;
Które on tworzy i w które oblewa,
A one giną wnyrtkłe po kolei,
Ta walka straszna, w której się powoli
Zużywa siły i działa i dumy
I mnie zmierzła. Oni! płaz mojej doli
Ujęci Awinii, nie zwiększmy katuszy! —
Serce mi bije jeszcze ostatkami
Słabo mi — drżenno — widno a zaciemno —
Konca nie trafię — z mojemi myślami
A chciałbym jeszcze — lecz powoli daremno.
Spowszednił pobladł jak posąg Karyjski
Ręce załamał, zadygał trzy razy —
Wzrok byk — ciśnie — tylko światło błyskli
Ulicy w oddali daleckiej — w obłoku.
Ojciec mój chory zawołał po chwili;
Otwórz mi okno bo duszno w tej celi,

Pozwólcie przerwać tę grobową ciszę
Do jeziora – życie dorzeźbia się cicho,
Choć mi już Ziemno jak w grobu pościeli,
Choć – pogrzebowe dzwony już słyszę.
I świat spowiedniki jak listek w jesieni
Wichrem grudniowym i żeńcem miotany –
Mówię z nim – ulgo się w tej chwili zamieni
Cóż chciał – umiał goić takie rany?